



ANDRZEJ
SZMILICHOWSKI

Kungens Kurva

Galeria
z przymrużeniem oka



JERZY
MARCINIAK

Ślub...

Po czterdziestu kilku latach szczęśliwego pożycia stałem się kawalerem do wzięcia.



I MÅNKARBO AB

Sprzedż wędlin i mięsa wieprzowego (póltusze), baraniny i dziczyzny.

Mięso szwedzkie od okolicznych rolników i myśliwych.

Produkcja wędlin i rozbiór we własnej ubojni w Szwecji.

Dowóz na adres na terenie Sztokholmu i Uppsala län.

Wysyłka DHL na teren całej Szwecji.

www.mankarbocharkuteri.se
info@mankarbocharkuteri.se



© CC0 Public Domain



POLSKI DENTYSTA

pogotowie bólowe
konsultacje, chirurgia, protetyka,
diagnostyka,
higiena, usuwanie kamienia,
wybielanie - stomatologia
zachowawcza z endodoncją



Eurotand Klinik

Nynäsvägen 319

122 34 ENSKEDE

Tel: 08 284 482

Mobil: 0720 22 55 80

info@eurotandklinik.se

www.eurotandklinik.se

Pomoc w nagłych wypadkach

HISTORIA O FRYZJERZE

Swego czasu Fryzjer zapalił się bardzo do pomysłu, by zatrudnić fryzjerki, które będą tylko strzygły w samym bikini, a jeszcze lepiej w topless. Pomysł nie nowy, ale w Szwecji nikt nie próbował. Nawet polazł do związków zawodowych, ale mu powiedzieli, że do złych związków trafił. Te sprawy załatwia inny związek... A raczej wydział do spraw obyczajnych.

ARTYKUŁ TADEUSZA NOWAKOWSKIEGO. STRONA 4

:DR. Dental

TWÓJ ZDROWY UŚMIECH TO NASZA PASJA!

Nasz doświadczony zespół lekarzy dentystów oferuje kompleksową opiekę stomatologiczną, w tym zabiegi estetyczne, leczenie kanałowe, implanty i wiele więcej.

ZADZWOŃ I UMÓW SIĘ
JUŻ TERAZ!

☎ 010-585 22 30

✉ info@drdental.se

🌐 www.drdental.se

Klinika mieści się 50 m od stacji pendeltåg i metra Odenplan.



ama dental

AMA DENTAL
nowoczesne centrum
stomatologii w Sztokholmie.
Naszą misją jest zapewnić
pacjentom najwyższą jakość
naszych usług dentystycznych
z zachowaniem maksymalnego
komfortu oraz miłej i przyjaznej
atmosfery.

ZAPRASZAMY!

☎ 073-7348537
Skarbocken 11, 121 46 Jönköping
info@amadental.se | www.amadental.se
ZAPRASZAMY!

KUNGENS KURVA*

Galeria z przymrużeniem oka

Chwilami trudno zrozumieć pobudki rodaków, którzy wspominając swe pierwsze emigranckie lata, drapują je z jednej strony w dramatyzm, z drugiej zaś w swoją niebywałą dzielność. Choć przecież doskonale ich rozumiem! Trudy owych zmagania przydają im splendoru, czynią bohaterami, to są ich colty, ich stedsony i mustangi. Ci wspólniali: urzędnicy, stolarze, inżynierowie, elektrycy, nikt, tancerze, śpiewaczki, złodzieje, architekci, cymbały, kurwy, humaniści, bandyci, filozofowie, stalownicy, cichodajki, pomoce domowe, adiunkci, szubrawcy, lekarze, sadomasochiści, profesorowie, weterynarze, gamonie... (niepotrzebne skreślić), posiadają swych Rosynantów i zmagając się z oporną materią okazują spiszową dzielność pionierów.

Zgodliwy miał wykład w ONiK (Ośrodku Nieskazitelnych i Kryształowych). Mówił o literaturze, jej roli, pisarzach, te rzeczy. Nic specjalnego, powtórzył standardowe argumenty, powołał znane powody, podkreślił, uwypuklił. Ale mówił rzeczy potrzebne, literatura, aby być w świecie techniki w ogóle dostrzegana, musi mówić i się pokazywać.

To bardzo popularna nieskopienna postać, kto nie zna Zgodliwego, nie zna nikogo. Ma on tyle wad, że czynią go silnym i drzemie w nim talent większy niż jego osobowość potrafi unieść. Na półce literatów polsko-sztokholmskiej diaspory zajmuje poczesne miejsce, co przyszło mu bez trudu, bo nieliczny jest. Zgodliwemu — piszącemu z talentem, uroczym i najczęściej o szabasowych świecach, niedostępna jest wiedza, jaką mają wszyscy jego przyjaciele — gdyby nie pełna werwy i uroczą żonę, zginąłby dawno temu jak puch jaki marny.

W dyskusji, która zeszała w jakimś momencie na temat wiary (wieczór w ONiK), jedna z pań zacytowała parę zdań ze wstępu do mojej książki „Po Tamej Stronie Materii”, i zaraz odezwał się osiemdziesięciokilkuletni Głowacz, emerytowany filozof. Nie godził się z tym, co usłyszał, iż religijność i duchowość to nie to samo. W ogóle odmówił mi prawa zabierania głosu w sprawach ważnych i coś mi się wydaje, że nie religijna wiara go do tego zobligowała (mówi, iż agnostykiem się czuje), a pycha zawodowa. Argumentował, i z sekundy na sekundę coraz bardziej się zaperzał. Nie mówił długo, ale z ostatnich zdań już wynikało, że jest głupiec nierozumiejący podstawowych spraw. Zacietrzewił się i ciskał w moją stronę jadłowite spojrzenia, w końcu nieomal się z wściekłości nie zapowietrzył!

Tetryczenie ma to do siebie, że dotkliwiej przesładuje mężczyźni, panie tetryceją zdecydowanie wolniej od facetów. Potem poszliśmy z Głowaczem na wino i było miło.

Życzliwy, nie jest człowiekiem tak wykształconym jak Głowacz — docenci filozofii nie rodzą się na kamieniu — i sporo młodszym od niego, ale czyni w tym względzie postępy, obchodził niedawno 65-cio lecie urodzin.

Życzliwy ma tupetu na parę osób. Jest człowiekiem uczynnym, bardzo rodzinnym i socjalnym, wielbi intensywnie żonę (co nie przeszkadza im od czasu do

czasu pięknie na siebie wrzeszczyć), ma dobre serce, jest wysmienitym organizatorem, kopalnią dowcipów, sybarytą, i uczy mnie (nie zdając sobie z tego sprawy) pokory.

Otóż, o co by nie szło, jakiego by tematu nie dotknąć, Życzliwy przez parę sekund słucha uważnie, a potem tylko wyczekuje dogodnego momentu, aby wejść na arenę, wchodzi i tokuje. Mówi szybko, gęsto i agresywnie, w każdym zdaniu jest strzępek historii, klaczek obyczajowości, refleksja z której wychodzi pozytywnie jego spostrzegawczość, mgielka żartu, a wszystko podane ogromnie autorytatywnie. Gdy ktoś pragnie się wtrącić, w oczach Życzliwego budzi się irytacja, gdy usłyszy odmienne zdanie, gniewa się, zryma i idzie na noże. Dla Życzliwego każda rozmowa jest pojedynkiem.

Nie był taki trzydzieści lat temu, gdy go poznałem, dziś łatwo się zaperza i posapuje poirytowany, iż mu się nie potakuje i w ogóle wtrąca, ale to wszystko tylko na chwilę, bo mu zaraz przechodzi. Moja lekcja pokory polega na cierpliwym go wysłuchaniu, co nie bywa w końcu nudnym zajęciem, bo głupi nie jest i potrafi ciekawie mówić. Życzliwy przekonany jest, że skleroza ma do niego utrudniony dostęp, co życie niestety podważa — potrafi opowiadać po raz czwarty ten sam dowcip, który ja w mojej niezgłębionej dobroci wysłuchuję jak po raz pierwszy.

Ze mną samym podobnie jest niestety. I w dowcipach, i w ogóle. Staram się wyhamowywać, Bóg mi świadkiem, ale łapię się coraz częściej na tym, że się przypieprzam do drobiazgów i irytuję, gdyż mam niemal niezachwianą pewność posiadania racji. Gdy ochłonę, bąkam przeprosiny, by po chwili znowu wdać się w jakieś idiotyczne ja-wiem-lepiej. Trochę głupio, ale nic to Basieńko! — podróżujemy dalej. Starszym panom łaskawy Bóg winien wzmocnić dar tolerancji. Gdybym powiedział Życzliwemu, że tetrycje, nie wysmiałby mnie, nie. Nie uwierzyłby.

Zaś Spory gdyby usłyszał, iż sposób w jaki prowadzi rozmowy, szczególnie z kobietami, może sprawiać wrażenie jakiegoś rodzaju nawiedzenia (z pyłkiem nieświadomionego nacyzmu), też by nie wysmiał, ale z innych pozycji. Powiedziałby coś na temat pokory i że być może rzeczywiście coś jest w tym, co mówię, potem by mnie poklepał, objął ramię i spojrzął ze swej wysokości (drab z niego potężny) łagodnie w oczy. Podejrzewam jednak, że poczułby się, i tu są trzy warianty: niesprawiedliwie potraktowany, zdziwiłby się, że nie rozumiem intencji, które nim kierują (Przecież się przyjaźnimy i powinnięś znać mnie lepiej!) poczułby się dotknięty, bo obecna jest w nim paragramowa pycha.

Powiedziałem mu kiedyś, że zawsze lubiłem kaszankę podsmażaną z cebulką, pychota!, i mimo że jestem od dziesiątków lat wegetarianinem, to od czasu do czasu, raz na parę lat, pozwałam sobie na tę słabość. Spory spojrzął na mnie zdumiony i oświadczył z mocą, że gdyby zrobił coś podobnego (jest wegetarianinem), świat cały zwaliłby mu się na łeb, a konstrukcja wiary, którą w pocie czoła i od lat buduje, ległaby w gruzach.

Spory uprawia swoisty rodzaj duchowego samobiczowania i czerpie z tego swoje przyjemności. Nie pije tego, broń boże je tamtego, zabrania sobie myśleć o owym... Spory odmawia sobie prawa do wielu rzeczy, które lubi, bo uważa, że lubić to słabość. Mruczy ciągle hinduskie mantry i stale powtarza, że wybaczając, nakłada na siebie pokutę w postaci pokory. Jest człowiekiem mądrym, dobrym, przyzwoitym, niesamowicie czytającym i z sercem na właściwym miejscu, mecenasem kultury sponsorującym (chętnie anonimowo) od lat emigracyjną twórczość literacką i sieroce dzieci w Polsce. A także uwielbia stwarzać wokół siebie chaos, który go rzekomo okropnie męczy, oraz produkować misie.

Odżywia się rodzajem ezoterycznej wiary, uprawianej na dalekim wschodzie, w której to wierze jakby nieco zagubił samego siebie. Świat, w który wierzy, składa się z dobrych energii, co nie przeszkadza mu łatwo się wkurzać na różne napotykanne przeszkody i wtedy parska gwałtownie. Rozumiesz, wiesz, nienawidzę!!! Życie duchowe i codzienne odbiera przez pryzmat filozofii buddyjskiej z saibabowskim odjazdem, przyjmując dalekowschodnią cywilizację duchową za swoją.

Wygląda na to, że poszukując w świecie miejsca, które dałoby mu osobistą satysfakcję — bo życie, jakie wie dzie, narzuciło mu dość surowe regulaminy i poddaje od czasu do czasu próbie jego męskie ambicje, z części których dobrowolnie (pokora!) zrezygnował — znalazł ją w dalekowschodniej mistyce i światowej literaturze. W tych kosmosach nikt niczego od niego nie żąda, nie pogania, nie krytykuje, nie stawia przed próbą. Tam, w zamglonym romantycznie świecie imaginacji czuje się mocny, dowartościowany i bezpieczny. Zapewne dlatego tak mocno trzyma się i

intensywnie przeżywa swoje orientalne zadumy, oraz wiernie służy kulturze słowa pisanego. Pogratiłować i pozazdrościć, znalazł swój świat, swoje mustangi, a to nie każdemu się udaje.

Patetyczny upadek człowieka, którego nie nazwę, wart jest mszy. Nieprzyjemny to widok, a zarazem buczące jak boja przeciwmgielna ostrzeżenie, co może się stać z człowiekiem, gdy jedne siły wezmą w nim górę nad innymi.

Halibut ma głos Cohena i używa go przy goleniu. Czasem też na salonach jak go poproszą, a proszą. Pochodzenie ma też jak Cohen, ale różni się od niego trzema rzeczami: kodem w American Express, tybetańskim adresem, i tym że Cohen nie ma brzucha w przeciwieństwie. Halibut zna ludzi, których wypada znać i jest wśród nich rozpoznawalny jako uniwersalnie dowcipny warszawista prawobrzeżny. Zonkę jego, nie powiem, da się oglądać, apetyczna wszędzie, gdzie spojrzeć. Halibutowa zapytała mnie trzydzieści dwa lata temu, czy jestem jaroszem, bo słyszała, a pyta gdyż chcą nas z żoną zaprosić, to zebym miał co przekąsić, a potrafi takie wegetariaństwa upichcić, że głowa boli. Czy się przechwalała do dziś nie wiem, ale mam nadzieję się dowiedzieć, rodzinnie długowieczny jestem. Z czego Halibuty żyją, wiedzą oni sami i częściowo szwedzki fiskus, gołym okiem widać, że żyją ochotnie.

Pamiętam ją doskonale, Freda świetnie śpiewała bluesa i to ją trzyma do dziś. W 1964 roku, na Festiwalu Piosenki w Opolu, przez parę dni Ona, Leszek Kowalski — aktor komediowy z Wybrzeża i ja, byliśmy nierozłączni. Gdy Jej to przypominałem w sztokholmskim Instytucie, patrzyła, słuchała, uprzejmie potakiwała, ale odniosłem wrażenie, że nie miała ochoty sobie przypomnieć.

Czym skorupka nasiąka za młodo? Trudne pytanie, najczęściej nasiąka się tym, co rodzice mają pod ręką. Roztropka dysponuje ogromnym atutem — jest dziewczyną wielkiej urody, bardzo jest piękna, a to nie o każdej można powiedzieć. Ma to, bo dostała od mamy, taty i Boga więc nie ma się czym chwalić, ale resztą zajęła się sama i zrobiła to dobrze, znakomicie wręcz. W toku zabiegów wokół światowej kariery filmowej, złotowłosa Roztropka zajęła się na początku filmową numerologią stosowaną (rozumiemy się, 007), zanim ogniem i mieczem urodziła dwóm mężom po jednym dziecku. Jeszcze o niej usłyszymy i nie wiem jak inni, ale ja jestem z niej dumny.

Nie znałem wcześniej człowieka równie rozkapryszonego i zapatrzonego w siebie jak On, no może jednego. I w porządku, człowiek utalentowany musi być narcystyczny, inaczej nic po nim. Niezbyt wystaje nad poziom morza, ale gdzie się pokaże wzbudza zainteresowanie pań, szczególnie brunetek. Ma On głowę rzymskiego patrycjusza w wieku wczesno-przedemerytalnym, czyli siwy łeb ma, a także młodą żonę (brunetkę oczywiście) i niesamowity ciąg do pisania, do laptopa przywiązany jest bardziej niż do nerwicy.

Jest klasycznym grafo-manem. Istnieją uzasadnione podejrzenia, że tak pisze i pisze, bo po pierwsze kocha pisać, ale także dlatego, że jest chciwy na pieniądze. Pisze zaś świetnie, jędrnie, bogato, z celną metaforą... oraz erotomańskim odjazdem. Ta dewiacja przynosi Mu nie tylko powodzenie i kasę, ale także chwałę, bo pisać o seksie jest ogromnie trudno i wymaga talentu, a robi to bardzo sprawnie. I pędzi, gorączkowo pędzi w świętym przekonaniu, że w pędzie najlepiej się sprawdza, czuje, jednocześnie spazmując dramatycznie, iż On już tego dłużej nie wytrzyma.

W towarzystwie On lubi spowieć się w szalik, sięść trochę z boku i robić za lorda Byrona. Lubi także rozmawiać i lubi tak silnie, że znalazł redakcję, która mu płaci za gadanie z jednym facetem. Nie pasują do siebie.

Był kiedyś dyrektorem Instytutu, ale wspomnienia chwil spędzonych za biurkiem, leżą u niego na poziomie wspomnień z internetu. Bo On internowany był, a jakże, spędził swoje miesiące w niewoli u generała Jaruzelskiego, co uczyniło go jednym z pretorianów Rzplitej i ta nagrodziła go owym dyrektorstwem, z czego się nawet początkowo ucieszył i był dumny, bo jeszcze wtedy nie wiedział, że nie lubi. Należy w kraju do czołówki piszących, bo zdolny, ale także dlatego, że z takim nazwiskiem to po prostu psi obowiązek pisać i to pisać dobrze.

Andrzej Szmilichowski

* Ku pamięci przygody Gustawa V — kiedy szofer stracił panowanie nad kierownicą królewskiego Cadillaca (model 1939), monarcha "ładował w rowie", lud nazwał to miejsce Kungens Kurva (Królewski Zakręt), co z czasem stało się nazwą oficjalną. Dziś to jedno z największych w Szwecji centrów handlowo-przemysłowych, leżące w dzielnicy Skärholmen.

Tekst z książki "Zapiski z przykacielem w tle".

Twój ruch

Świat jest niewzruszony a przez to wspaniały. Szanuję go i kocham, bo w swoich obrotach wokół słońca ofiarowuje mi siebie ciągle na nowo i stale inaczej. Płynę więc tą przedziwną rzeką zdarzeń, z niespodziewanymi widokami za każdym zakolem drogi.

Co w życiu przeczytałem i co sam napisałem, od dała się teraz zwolna i rysuje jako napotkana po dłuższej kwarantannie przestrzeń. Żyję tygodniem, dniem, godziną i coraz silniej puka do mojej świadomości przekonanie, że aby istnieć spokojnie, należy odejść od życia rzeczy zbędne. Okazuje się, że wszystko, z jutrem włącznie, nie jest przez to wcale gorsze, a czasem nawet bardziej interesujące.

Moja choroba, bo tak nazwałem to co mnie spało w wieku 13-14 lat, przerodziło się w ciekawe wspomnienia. Wydaje mi się, że to nie figuruje w podręcznikach psychiatrii, ale co ja wiem na ten temat psychiatrii? W każdym razie rzecz polegała na zaburzeniach w percepcji odbioru rzeczywistości.

Niespodzianie, a zdarzało się to o różnych porach dnia i bez najmniejszych zapowiadających symptomów, czułem że dzieje się ze mną coś niezwykłego, ponieważ mój wzrok nagle tracił perspektywę. Na co bym nie spojrział było znacznie bardziej oddalone, odległe, małe. Jakbym patrzył przez lornetkę z odwrotnej strony. Przy tym obraz był nieostry, a wszystko skąpane w dziwnej, przypominającej ultramarynę barwie i w towarzystwie dość przykrych dźwięków, których pochodzenia nie potrafiłem określić. Tak trwała dwie godziny, czasem cztery/pięć godzin a czasem kwadrans i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki mijało, pozostawiając mnie najczęściej z bólem głowy.

Czułem jakbym się znajdował w dziwnej klepsydrze, w której piasek zła i dobra i moje dziwne istnienie, przesypuje się innym niż życie wokół rytmem. To co mnie otaczało traciło moc istnienia, było bytem teatralnie nierealnym, rozpadem.

Tylko mój ruch był realny, tylko mój ruch się liczył. Wszystko i wszyscy inni byli uczestnikami sztucznego, fantasmagorycznego widowiska, nie prawdziwego życia. Otaczający świat nie był bardziej prawdziwy, niż nocne demony zlatujące się pod okno i próbujące odbierać mi moje sny. Niestety wszyscy byliśmy skazani na zatrącenie, ponieważ ład w którym się zadowiliśmy, ład kształtujący myśli, uczucia, działania, jak każdy ład przed nami i każdy po nas, charakteryzował się dojrzeniem do klęski.

Z kim mogłem dzielić moje strapienia, zwątpienia, wątpliwości, od kogo oczekiwać choćby wyrozumiałego zaciekawienia? Wówczas z nikim a dziś z paroma osobami, które wiem że przyjmą moje słowa

z powagą. Mam poczucie, że świat homo sapiens boryka się z długotrwałymi kłopotami, bowiem mści się tak na sobie samym, zaś zawiść każe szukać pociechy w wizjach o upadku „tych innych”, których los niesprawiedliwie oszczędził.

Może mój chłopięcy umysł przebiegał wówczas epoki jak pocisk i chwycił instynktownie cechy ogólne, wektory przyspieszenia, spowolnienia, stawania się i mknienia dalej? Może rodziło się wówczas przecucie, że epoka w której żyję umiera i powinno się ją szybko pochować, żeby spadkobiercy mieli szansę lżej odetchnąć?

Tyle o mojej chorobie, może śnie? Dziś, jako stary sportowiec utrzymuję się w formie i staram być obecny w dziele zbiorowym literatury mojego ojczystego języka, co po z górą pół wieku spędzonego na obczyźnie, jest myślę zupełnie niezłym wynikiem.

Możliwe, że świat tak bardzo się rozpędził, że w tym pędzie nie zauważa iż stracił oddech? Co paradoksalne, triumfalny pochód jednostek współczesnego świata, tak zmienia i przekształca, że ich dusze błyszczą sztucznie, jak zrobione z polyskliwego plastiku. Idąc tą drogą łatwo przyjąć, że istnienie jest kłopotem, wielką, splaszczoną ponad miarę i wstydliwą nieprzyzwoitością.

Czy głównym zadaniem i obowiązkiem człowieka, może być przeniesienie wartości na drugi brzeg? To mogłoby zmienić wiele. W każdym razie mogłoby złagodzić rozczarowania i zmniejszyć ciężar absurdu bycia, jak również wzmacnić przekonanie, że wszystko zostanie nam wybaczone, jeśli przechowamy w sobie miłość do Dobra. (ASZ)



© Archiwum NGP

1943-2024

Zmarł Stanisław Cieślak

18 grudnia, w wieku 81 lat, zmarł w Sztokholmie znakomity puzonista i pianista - Stanisław Cieślak.

Urodził się w 1943 roku w Zduńskiej Woli, liceum muzyczne ukończył w Łodzi, a później Wyższą Szkołę Muzyczną w Warszawie. W Liceum poznał Michała Urbaniaka, przez którego poznał Zbigniewa Namysłowskiego. Na początku lat 60., będąc jeszcze uczniem Liceum Muzycznego w Łodzi, debiutował w zespole jazzu tradycyjnego Tiger Rag. Po przeprowadzce do Trójmiasta grał z takimi zespołami jak Jazz Players, Flamingo oraz Big Bandem Jana Tomaszewskiego. W tym okresie współpracował m.in. z Piotrem Nadolskim, Markiem Tarnowskim, Włodzimierzem Nahornym, Andrzejem Przybielskim i Władysławem Jagiełłą. Wraz z awangardowym kontrabasistą Helmutem Nadolskim był jednym z pierwszych polskich muzyków grających free jazz. W 1966 na festiwalu Jazz nad Odrą zdobył nagrodę dla najlepszego instrumentalisty. Był stałym członkiem Studia Jazzowego Polskiego Radia kierowanego przez Jana Ptaszyna Wróblewskiego.

W 1971 wszedł w skład kwintetu Zbigniewa Namysłowskiego. Z zespołem tym nagrał słynną płytę „Winobranie” (Polish Jazz vol.33). Płyta ta jest do tej pory uważana za jedną z najlepszych w historii polskiego jazzu. Po rozwiązaniu kwintetu współpracował z Januszem Muniakiem, Tomaszem Stańko, zespołem Bemibem, Henrykiem Majewskim i Orkiestrą Studia S1 Andrzeja Trzaskowskiego.

W 1976 wyjechał na stałe do Szwecji gdzie grał m.in. w takich zespołach jak big band saksofonisty Bernta Rosengrena i Tentecie pianisty Pera Henrika Wallina. Współpracował też z wybitnym poetą i piosenkarzem Cornelisem Vreeswijkem.

Parę lat temu udzielił wywiadu Nowej Gazecie Polskiej opowiadając o swojej pracy muzyka jazzowego: *Pierwszy raz wyjechałem do Szwecji w 1969 roku z grupą Władysława Jagiełły, w skład której wchodziła czołówka polskich jazzmenów - Zbyszek Namysłowski, Piotrek Pułaski z grupy Polanie, Wiesław Bernolak... Z założeniem było, że będziemy w Szwecji koncertować z repertuarem amerykańskim. To cieszyło się wtedy tutaj dużym powodzeniem. Ale wkrótce okazało się, że Namysłowski miał jakieś plany z Niemenem i po miesiącu opuścił naszą grupę. Z kolei Piotrek Pułaski pojechał do Niemiec. Ja zostałem.*

(NGP)

BYĆ POLAKIEM

Z radością i satysfakcją zapraszamy Was do udziału w XVI edycji konkursu „Być Polakiem”.

Z radością, bo w najdalszych zakątkach świata młodzież, mająca polskie pochodzenie, choć bardzo często inne niż polskie obywatelstwo, będzie myślała, jak opisać osobiste przeżywanie polskości, jak wytlumaczyć fenomen angażowania się w sprawy polskie osób, żyjących od pokoleń na obcej ziemi, jak zrozumieć polskie bohaterstwo, nie znające granic poświęcenia dla Polski. Odpowiedzi na te pytania to dla uczestników Konkursu duże wyzwanie. To prawda, ale trudny będzie tylko pierwszy krok, postanowienie, że warto podjąć ten wysiłek. Kiedy decyzja zostanie podjęta i zaczniecie zbierać materiał, podróżować po historii Polski i mapie Rzeczypospolitej a potem rysować, pisać i nakręcać filmy na Konkurs dojdziecie do wniosku, że to pasjonujące zadanie, bo dowiadujecie się o rzeczach i wydarzeniach, o których istnieniu nie mieliście pojęcia. Życzymy Wam takich przeżyć.

Satysfakcja Organizatorów wynika z faktu, że co roku wpływa blisko tysiąc prac konkursowych, a w roku 2016, roku jubileuszu Chrztu Polski, było ich nawet tysiąc pięćset. Oznacza to, że w tak wielu punktach kuli ziemskiej mocno biją polskie serca, wybijając takt - tu jest Polska! Tu jest Polska! Odbieramy ten telegram z dumą i ogromną satysfakcją, tym bardziej, że wasze prace są przemyślane oraz dojrzałe emocjonalnie i intelektualnie.

Zachęcamy więc i zapraszamy do udziału w kolejnej, XVI już edycji Konkursu. Ten wysiłek zaowocuje lepszym zrozumieniem spraw polskich, dumą ze zwycięstw i sukcesów na przestrzeni wielowiekowej historii i współczesności Polski. Czekamy na wasze prace i zapraszamy wszystkich na Galę, kończącą tę edycję: 10 lipca 2025 roku do Zamku Królewskiego w Warszawie.

Do Rodziców zwracamy się z wielką prośbą o motywowanie i wspieranie, w chwilach zwątpienia, uczestników Konkursu, dodając im odwagi, energii i mocy twórczej. Nauczycielom ogromnie dziękujemy za upowszechnianie wśród uczniów idei Konkursu i pomoc w zaplanowaniu i przygotowaniu prac konkursowych. Byliście, jesteście i mamy nadzieję, że pozostaniecie potężnymi promotorami i kreatorami tego projektu na całym świecie, zarówno modułu A jak i modułu B. Dziękujemy! W imieniu Organizatorów

Joanna Fabisiak
(www.bycpolakiem.pl)

Katolicki kościół św. Jana w Sztokholmie

19 grudnia 2024 r. podpisano porozumienie o przeniesieniu kościoła św. Jana do kościoła katolickiego.

Przewodniczący Rady Kościoła w zgromadzeniu św. Gunilla Svensson Pilefors i przewodniczący rady kościelnej w zgromadzeniu, Hans von Schreeb, powiedzieli, że „bardzo się cieszą, że wspaniały kościół św. Jana trafia w tak dobre ręce. Przejęcie Kościoła przez diecezję katolicką staje się ekumenicznym akcentem dla wszystkich zainteresowanych oraz wzorem tego, jak można stworzyć zaufanie i tolerancję w spolaryzowanym świecie.”

Kościół św. Jana ze swoją wysoką wieżą, w centrum Sztokholmu, jest ważnym punktem orientacyjnym na szczycie Brunkebergsåsen w stolicy Szwecji. Świątynia została zbudowana w 1890 roku według projektu Carla Möllera, wyglądem przypomina katedrę z pięknym wnętrzem w stylu gotyckim i miejscami dla 900 osób. Będzie to czwarty kościół katolicki w centrum Sztokholmu.

Już w 1651 została w miejscu obecnego kościoła zbudowana drewniana kaplica cmentarna, jako że rozciągający się wokół niej teren służył jako cmentarz ówczesnej parafii św. Jana i św. Jakuba. W okresie późniejszym były plany wzniesienia w tym miejscu kościoła kamiennego. Po 1770 król Gustaw III wystąpił z inicjatywą budowy nowego kościoła w stylu klasycystycznym. Wykonanie projektu zlecono architektowi Jean Eric Rehnowi.

Prace wstępne rozpoczęły się 4 września 1783 a już w lutym roku następnego zostały przerwane. Powodem były krytyczne uwagi króla, który w tym czasie podróżował po Włoszech i zapoznawał się z ideami rodzącego się wówczas klasycyzmu, iż projekt Rehna jest starożytności. Król zlecił więc francuskiemu architektowi Léonowi Dufourny'emu wykonanie nowego projektu świątyni. Dufourny zaproponował kościół w tzw. stylu nowo-antycznym, bez okien. Propozycja jednak wydała się dziwna i nie została przyjęta. Zamiast tego postanowiono wyremontować i powiększyć dotychczasową, drewnianą budowlę.

Pod koniec XIX wieku, gdy ludność Sztokholmu gwałtownie się powiększała, myśl budowy nowego kościoła odżyła na nowo. Ogłoszony został konkurs, który wygrał architekt Carl Möller. Propozycja jego zawierała kościół w modnym wówczas stylu neogotyckim. 14 września, równo 100 lat po pierwszej propozycji zbudowania kościoła, decyzja zapadła. W 1884 budowa ruszyła z miejsca i w Dzień Zesłania Ducha św. (szw. Pingstdagen) 1890 kościół został konsekrowany; uroczystości konsekracyjnej przewodniczył arcybiskup Anton Niklas Sundberg a udział w niej wziął m.in. król Oskar II.

W 1901 w kościele założono instalację elektryczną. W 1914 zmieniono układ ławek w kościele, tworząc środkowe przejście. W latach 1945–46 miała miejsce gruntowna renowacja wnętrza świątyni pod kierunkiem architekta Erika Fanta; polepszone m.in. akustykę poprzez zamontowanie tzw. ekranów akustycznych w górnej części ścian i płyt z dykty – w dolnych. W latach 1948–50 miała zewnętrzna renowacja. Poszycie dachu naw oraz wieży, wykonane pierwotnie z czerwonej, żółtej i brązowej cegły, ułożonej w geometryczne wzory, wymieniono na wzorzystą blachę miedzianą. W trakcie prac konserwacyjnych usunięto część wystroju zewnętrznego, m.in. rzygacze. W 1969 zamontowano podświetlenie fasady kościoła.

W latach 1970–71 miały miejsce dalsze prace konserwacyjne: naprawiono pęknięcia sklepień, pod kierunkiem konserwatora Gösta Lindströma dokonano renowacji znajdujących się na nich malowideł a budynek kościoła został podłączony do sieci centralnego ogrzewania. W 2000 wyremontowano wolno stojącą dzwonnica.

Od 1978 Polska Misja Katolicka w Sztokholmie, wynajmuje kościół do odprawiania katolickich mszy św. w języku polskim.

Kardynał Anders Arborelius z rzymsko-katolickiej diecezji sztokholmskiej oraz biskup Andreas Holmberg ze Szwedzkiej kościoła ewangelickiego podpisali umowę przekazania.



Foto: Public Domain

Historia o fryzjerze

Fryzjer ma dzisiaj lat 80+. Gdy to pisałem, miał 10 lat mniej, a w głowie mniej więcej 30. Kilometrów na godzinę... Strzygł mnie powoli, bo głównie gadał, a ja czułem się jak baba u fryzjera. Jeśli kogoś uraziłem, to miała to być tylko przenośnia. Fryzjera znam od lat może 30-tu, strzygę się u niego od wielu lat... gdyż inny fryzjer się na mnie obraził.

Fryzjer miał kilka pasji, ale ograniczmy się do dwóch: wciąż „robił” interes życia i szukał taniego seksu. Jego zakład na peryferiach Sztokholmu wyglądał jakby przed chwilą się tam wprowadził – kartony, burdel, bezguście totalne, na lustrze przyklejone dwie nagie baby: jedna czarna, a druga łuska ryż. No, z tą drugą to pewnie przesadziłem.

W kartonach pochowywane złoty interes Fryzjera, bo on ciągle/wciąż importuje: to stare szampony, to środek na porost włosów, to znowu na wyłysienie. Pewnie wszystko po latach zamienia się w to ostatnie, bo Fryzjer nic nie może sprzedać, a jak się towar zestarzeje, to tylko można psa w tym kąpać. Więc interes szedł marnie, chociaż Fryzjer był uparty, ogłaszał się, wymyślał reklamy wciąż od nowa, pokazując mi je z zachwytem, a ja wciąż się zastanawiałem, co on naprawdę robił, bo klientów u niego nigdy nie było, ponieważ nikt tam przychodzić nie chciał. Poza mną...

Więc Fryzjer główkował przez te wszystkie lata, jak by rozruszać interes. To raz otwierał szkołę fryzjerską, to znowu otwierał kolejny zakład w innym podłym miejscu, gdzie — nie obrażając nikogo — mieszkają już tylko sami czarni, więc do salonu Fryzjera nie przyjdą. Mają własne.

Pomysły na interesy jakoś dziwnie splatały się mu się z jego drugim hobby, czyli panienkami. W jego historii, którą poznałem, kiedyś kręciła się u niego jakaś polska fryzjerka — raczej należałoby napisać: on się kręcił koło niej. Ale uciekła. Później Fryzjer

importował Ukrainkę, ale ta też uciekła. Więc wpadł na genialny pomysł, by sprowadzać Tajki i w salonie fryzjerskim zrobić zakład masażu. Czyli w tym badzewiu trzeba by się było na golasa położyć i jakaś Tajka, w średnim wieku, pomasuje nam niektóre członki. O jakie członki chodzi wiedzą wszyscy, którzy z masażu tajskiego korzystają.

Ale Fryzjer to porządny facet, więc nic z tych rzeczy. Masaż dotyczy ma innych członków, a jedyny członek, który Tajka ma dotykać, ma być jego własny. Więc za kilkadziesiąt tysięcy koron sprowadzał sobie masowaczki członków, a te po pewnym czasie zwiwały gdzie indziej. Bo i lepiej gdzie indziej mogły zarobić i bardziej świeże członki pomasować.

A Fryzjer pełen był goryczy, bo on bardzo chciał, i rzekomo wciąż mu stawał... Tak przynajmniej opowiadał, a wiadomo, że facecie to mistrzowie w takich opowiadkach, zwłaszcza, gdy chcą zaimponować przed drugim facetem.

Inna sprawa, że F. porywał się na te interesy jak radziecki komsomolec na podbój kosmosu: jeszcze 15 lat temu było w Sztokholmie około 100 zakładów masażu tajskiego, dzisiaj jest już blisko 300. Fryzjer musiał się niezłe namasować, by wyjść na swoje.

Fryzjer jest miły i lubię ten jego zapach. Strzyże wolno, ale dobrze i fachowo (stara dobra szkoła!), by już nie wspomnieć, że strzyże mnie za darmo. Więc tak słuchałem tych jego opowieści, czekając aż na głowie ułoży mi zgrabną fryzurkę.

I ciągle mnie pytał o radę: co ma robić, czy już ma dać sobie spokój z Tajkami, bo może Filipinki są lepsze? — wszak katolicki. Tylko... jak to jest u nich z seksem? — zapytywałem zaniepokojony. — Może być problem, odpowiadałem głosem znawcy. — Więc może Brazylijki? Ładne, seksowne, ale czy potrafią masować? Ja mu proponuję Senegalki, bo te są najpiękniejsze, ale pewnie z masażem gorzej...

Takie rozmowy prowadziliśmy...

Swego czasu Fryzjer zapalił się bardzo do pomysłu, by zatrudnić fryzjerki, które będą tylko strzygły w samym bikini, a jeszcze lepiej w topless. Pomysł nie nowy, ale w Szwecji nikt nie próbował. Nawet położył do związków zawodowych, ale mu powiedzieli, że do złych związków trafił. Te sprawy załatwia inny związek... A raczej wydział do spraw obyczajnych.

Nie piszę tego wszystkiego przez złośliwość. Nie! Cenię sobie zapach i pomysły Fryzjera. Ma dobre serce tylko do biznesu nie ma szczęścia. Był i jest jedną z sympatyczniejszych postaci wśród szwedzkiej Polonii i zapewne taki w mojej pamięci pozostanie.

Bo historia Fryzjera to historia polskiej przedsiębiorczości w Szwecji, gdzie ułańska fantazja przeplata się z religijnym podejściem do zawodu i wiecznym męskim marzeniem, by praca była nie tylko miła i przyjemna, ale także dawała zadowolenie seksualne.

Tadeusz Nowakowski



ADVOKATERNA BIGOSINSKI & BIGOSINSKI AB

SPRAWY rodzinne
gospodarcze - karne - pracy
budowlane - dotyczące najmu

Advokat

Anita Bigosinska

Advokat

Douglas Bigosinski

Senior advisor - advokat

Andreas Bigosinski

Aplikant

Wiktoria Moczek

Aplikant

Tomas Lesniewski



TEL: 08-663 20 40
info@advokatbigosinski.com
VALLHALLAVÄGEN 52
114 27 STOCKHOLM



KANCELARIA PRAWNA

jur kand **Anna Cieślak**
jur kand **Victoria Cieślak**

Prawo rodzinne. Prawo spadkowe.
Prawo pracy. Odszkodowania.
Roszczenia. Spory cywilne.

Pierwsza porada bezpłatna.

Pomoc w kosztach sądowych.

T: 070 755 3810
T: 070 482 9975

anna@juristfirmancivia.com
victoria@juristfirmancivia.com
www.juristfirmancivia.com

MBL

Redovisning & Konsulting

- ▶ Księgowość, administracja, rejestracja wszystkich rodzajów firm.
- ▶ Doradztwo ekonomiczne.
- ▶ Sporządzanie årsbokslut, årsredovisningar.
- ▶ Sporządzanie deklaracji rocznych osób prywatnych i firm.
- ▶ Pomoc w załatwianiu spraw w urzędach szwedzkich.

BOŻENA ZIEMBA

Hästholmsvägen 28, 131 30 NACKA

Tel. +46 (8) 30 40 80

Email: bozena@mbredovisning.se



ATLANTIS KÖRSKOLA

Nauka jazdy w polskiej szkole w Sztokholmie!
Zamów lekcję testową:

atlantisskola@gmail.com

telefon/sms 073 9808659

Zajrzyj na: www.atlantisskola.com

Zapraszam: **Jerzy Walentowicz**



HASSEL DENTAL

FRISKARE TÄNDER, TRYGGHET & OMTANKEN

lekarz dentysta
Małgorzata Kajda

Oferujemy nowoczesne leczenie
stomatologiczne na najwyższym
poziomie w atrakcyjnych cenach.

Zadzwoń i umów wizytę:

HASSEL.DENTAL.SE

+46 72 175 84 55

Värbergsvägen 173
127 41 Skärholmen

HANDYMAN KRONBERG & SKÅNE

NASZE USŁUGI:

- Remont domu/mieszkania
- Malowanie/ szpachlowanie
- Składanie mebli
- Tapetowanie
- Płytkowanie
- Podłogi

Więcej informacji:

073-309 74 21

mailto:gn@kronberg31@gmail.com



PRACA DLA BLACHARZA

warsztat samochodowy w centrum
Sztokholmu

- szwedzka umowa
- stawka 220 SEK/godz. brutto
- darmowe dojazdy do pracy
- praca długoterminowa
- bezpłatne zakwaterowanie, jednoosobowe
- możliwość pracy ponad 8 godz./dzienne

601 885 483, 506 377 392

szwecja@recrewhr.pl

RECREW HR

Branda ogólnobudowlana | Praca w
Szwecji | Administracja | Koordynacja

NOWY PORTAL
POLONII SZWEDZKIEJ
WWW.STREFA.SE

SZWECJA POLSKA
EMIGRACJA
OPINIE KOMENTARZE
WYWIADY OGŁOSZENIA

CHCESZ SIĘ OGŁOSIĆ?
SKONTAKTUJ SIĘ
Z NAMI:

info@strefa.se



STREFA:SE

PRZEWOZY PASAŻERSKIE PACZKI I PRZESYŁKI

doreczenie w
24h

ceny już od
20zł

SZWECJA

POLSKA

WiFi

DVD
VIDEO



GWARANCJA NAJNIŻSZEJ CENY!





© Public Domain

Dawid potrafi

Był rok 2000. W warszawskie Ostanki występował w Teatrze Wielkim, przeto na scenie bardzo poważanej, słynny iluzjonista amerykański David Copperfield. Natomiast na placu Piłsudskiego, nieopodal Grobu Nieznanego Żołnierza, zebrał się wielki tłum, żeby na wielkich ekranach (nie dla wszystkich starczyło miejsca wewnątrz) oglądać transmisję pokazu niezwykłych sztuczek.

Poza znikaniem pewnych osób na widowni, oglądano też lot iluzjonisty w powietrzu itp. atrakcje. Nic nie jest zbyt trudne dla p. Dawida, najtrudniejsza była polszczyzna, jaką się posługiwał ku ucieście publiczności.

Pogoda panowała niesympatyczna tego wieczora: wiał gwałtowny wiatr i padał deszcz, co nie zniechęcało niektórych do długiego wyczekiwania na transmisję.

— Przystojniak ten Dawid! — szeptały warszawianki, gdyż uroda iluzjonisty jest duża, zaś towarzyszące mu asystentki też niezgorsze. Cooperfield znany jest dobrze z telewizji, gdzie potrafił dokonać nawet takiego wyczynu jak zniknięcie potężnej lokomotywy. Oczywiście owego „numeru” w Warszawie nie było, gdyż sala raczej niewłaściwa, a PKP nieskoro do wypożyczania swego taboru. Natomiast znikanie z przed teatru luksusowych samochodów, nawet w biały dzień, nie należy do rzadkości, a tym mniej do cudów, gdyż nie brakuje utalentowanych rodzimych złodziei aut.

David Copperfield (to jego pseudonim artystyczny wywodzący się z lektury powieści Karola Dickensa) ma istotnie imię David, ale nazwisko prozaiczne: Kotkin, pochodząc z rodziny emigrantów; według jednych niemieckich, według drugich rosyjskich — jak jest naprawdę nie wiem, gdyż z powodu tłoku z nim nie rozmawiałem.

Pytanie o Davida w stylu „a z których to Kotkinów” nie ma sensu. Zresztą i tak nikt z artystów prawdy o sobie nie mówi, konfabulując, wspomagany przez maszynę reklamową. Nż. nasza Pola Negri w oczach jednych była Polką, według drugich Węgierką, czy

Niemką — bo występowała w filmach niemieckich, bądź Amerykanką — w czym po trosze zawsze tkwił zdżbło prawdy... David (czy po swojsku Dawid) — urodzony w New Jersey — zaczynał karierę jako bruchomówca, później wystąpił w musicalu „The Magic Man”, wreszcie — dzięki pracowitości — opanował perfekcyjnie trudną sztukę iluzjonizmu. Telewizja uczyniła zeń gwiazdę wielkich widowisk. Ponadto jego uroda i młodość mogą podobać się nie tylko kobietom.

Według klasycznych podziałów istnieją magia czarna i biała. Ta pierwsza czarodziejska sztuka wykorzystuje — jak się powiada — złe duchy, wywierając demoniczny wpływ na przyrodę i naruszając rządzące nią prawa. Coś na kształt sztuczek legendarnego Pana Twardowskiego. Posiłkowanie się duchami dobrymi stanowi cechę magii białej. David Copperfield latający w powietrzu z pewnością nie korzysta ze wsparcia żadnych sił nadprzyrodzonych, ale z sugestii, złudzeń optycznych i najnowszej techniki, także laserowej. Z zadrześcią patrzeć musi na jego występy konkurencja, zasłużonymi oklaskami darzą go widzowie.

Warto przypomnieć, że ongi sławą wielką cieszył się Włoch Giuseppe Balsamo [1743-1795], znany także jako hr. Alessandro Cagliostro, gdyż chętnie przybierał różne szlachetne tytuły i nazwiska. Był to poszukiwacz przygód i awanturnik, alchemik, cudowny lekarz (posiadał tajemnicę „kamienia filozoficznego”, eliksiru młodości itp.), wizjoner, wywoływacz duchów i fałszerz. Odwiedził wszystkie stolice europejskie, a wygnany z Rosji w 1780 r. zjawił się w Warszawie, gdzie zgotowano mu owacyjne przyjęcie. Za czary i herezje wtrącony został potem do więzienia, gdzie zmarł w fortecy San Leo pod Urbino.

Jego życie stało się natchnieniem dla pisarzy i muzyków. Pisał o nim Fryderyk Schiller (1789), Johann Wolfgang Goethe (1791), Aleksander Dumas (1849), operetkę o nim skomponował Johann Strauss (1875), zaś balet pt. „Cagliostro w Warszawie” — J. A. Maklakiewicz. Awanturnicy i magicy zawsze rozbudzają twórczą fantazję!

Z pewnością Dawid nie doczeka się takiego echa w literaturze bądź muzyce, gdyż — mimo wielkiego talentu w górnych rejonach iluzji, zdaje się być człowiekiem uczciwym i kontentuje niebłahymi dochodami, jakie zapewnia mu co roku 500 występów przed publicznością.

Telepatia, hipnoza, magnetyzm były znane i prezentowane jako dziedziny nauk tajemnych nie raz w dziejach Bydgoszczy. Na przykład przed 100 laty — w styczniu 1920 r. reklamowano wielki wiecór eksperymentalny w Domu Polskim. Zapraszano na wystąpienie znanego telepaty i hypnotyzera Apolinarego Semarua — sala dobrze ogrzana — bilety po 5, 4, 3, 2, 1.50 mk u p. Posłusznego ul. Niedźwiedzia i w Księgarni Ludowej p. Modlibowskiej, ul. Pocztowa 5. Niestety, na łamach „Dziennika Bydgoskiego” zabrakło relacji z owego wieczoru, czemu trudno się dziwić, gdyż gazeta była wtedy cieniutka i ważniejszą sprawą było zapowiadane powitanie wkraczających wkrótce do miasta wojsk polskich po 148 latach zaboru pruskiego.

Natomiast wielka reklama w mieście nad Brdą poprzedzała występy znanego telepaty Szyllera-Szkolnika, z własnym medium w osobie panny Evigny-Rara, który w 1932 roku występował w kinie „Rewia”, zaś zamieszkiwał w hotelu Pod Orłem. Tenże chiromanta z Warszawy, fizjonomista, astrolog i frenolog specjalizował się w podawaniu szczęśliwych numerów losów na loterię, za co pobierał odpowiednie honoraria. A ponieważ nigdy sam nie wygrał — uwierzyć w jego talent trudno.

Od czasu do czasu reklamowano różnych osobników obdarzonych jakoby nadprzyrodzonymi siłami i zdolnościami. Im bardziej egzotyczni, tym większe budzili zainteresowanie. Wcześniej w 1930 roku bał reklamowany Ben Ali, o którym później pisano, że jest oszustem i naciągaczem. W 1936 roku pojawił się w Bydgoszczy fakir indyjski (oczywiście: światowej sławy) o nazwisku Allmistakeo Lungri, który odgadywał przeszłość klientów i przepowiadał przyszłość, ponadto potrafił rzekomo leczyć najgorsze bóle. Kiedy niezadowolony chory zaskarżył fakira do sądu okazało się, że jest nim bezrobotny murarz Władysław Michaluk, wykorzystujący ludzką naiwność. Skazano go na rok więzienia.

Magia, iluzja i przepowiednie nie straciły uroku także w naszym rzekomo oświeconym wieku XXI.

JERZY MARCINIAK

Ślub na Madagaskarze

*For Perlette Zafimahitasoa
Aurelia Zafimalala and Anjarasoa
Faramalala
from Antananarivo*

Moją byłą żonę kochałem gorąco i zawsze, zawsze. Ona mnie nigdy, co powinno być dobrą, mocną zachętą dla mnie na budowanie podwalin pod trwałe i pełne żarliwej miłości małżeństwo. Niestety, reguły są nieraz powszechnie uznanymi prawidłowościami, a życie swoje robi. Po czterdziestu kilku latach szczęśliwego pożycia stałem się kawalerem do wzięcia. Moja jedyna i kochana rzuciła mnie i odeszła. I to szybkim krokiem. A chwilami to nawet biegła, co wyglądało tak, jakby bardzo chciała być jak najszybciej ode mnie i jak najdalej.

Upłynął rok, potem drugi, szybko zaczął się trzeci mojej samotności, a kolejek chętnych młodych, bogatych dziewczyn pod moimi drzwiami jakoś... nie było. Czego nie mogłem zrozumieć. Stary nie byłem, bo tylko co nieco po siedemdziesiątce, więc przez następnych kilkadziesiąt lat gwarantowałem wszystko, czego młoda dziewczyna potrzebuje. Może jedynie z pieniędzmi zapowiadało się kruch, bo tego nigdy pod dostatkiem nie miałem, a po osiągnięciu stanu wórnego kawalerstwa, wszystko co miałem spieniężniłem w salonach masażu w Malmö, Lund w Etiopii, Kenii, Tunezji czy na Madagaskarze.

Podczas pobytu w Antananarivo, czyli stolicy Czerwonej Wyspy, poznałem Perlette. Popatrzyła na mnie raz, potem drugi, trzeci, czwarty, trochę piąty, odrobinkę szósty i pokręciła zaprzeczająco głową raz, drugi, żebym nie miał złudzeń do moich szans na żonopójście, zaprzeczyła raz trzeci, potem czwarty i... poszła swoją drogą.

Po paru dniach spotkaliśmy się znowu. Nakłamałem jej, naobiecowałem, nachwaliłem się osiągnięciami literackimi, których nigdy de facto nie miałem. Odejąłem sporo lat, sobie, bo ona była młoda więc odejmowania na razie nie potrzebowała, paszportu jej nie pokazałem, żeby nie poznała prawdy co do mojej długowieczności, i ona... już nie była tak zdecydowanie na nie. Powoli, bo powoli, ale zaczęła jakby się wahać co do zdecydowanego odrzucenia moich konkurencji.

Po tygodniu odprowadziła mnie na lotnisko i pomachała ręką, gdy samolot Ethiopien Airlines wzbijał się w przestworza razem ze mną. Trochę podpiętym, bo nabyłem butelkę whisky w sklepie Tax Free.

Po miesiącu Perlette się odezwała, że chciałaby mieszkać i pracować w Szwecji, że na razie nie ma innego faceta, więc ostatecznie na jakiś czas mogłaby wyjść za mnie, ale wierności — z uwagi na mój wiek — nie gwarantuje, sprzątać w mieszkaniu nie lubi, z gotowaniem to różnie bywa, z praniem też nie wygląda lepiej, więc mogę przyjechać do Antananarivo i wziąć z nią ślub. Oczywiście nie za darmo. Matce będę musiał zapłacić minimum trzysta dolarów, a lepiej czterysta czy pięćset, każdemu z pięciu braci sumę porównywalną i dwom siostrą sumy niedużo mniejsze.

Ucieszyłem się, że mówi prawdę, jest szczerą, kłamię mało albo prawie wcale i *summa summarum* drogo za moje żonopójście nie żąda. Spakowałem więc co nieco z mojego nieistniejącego de facto majątku, pożyczyłem na bilet i udałem się po raz drugi na Madagaskar.

Krajobraz Czerwonej Wyspy jest co najmniej piękny i na tym można byłoby poprzestać, bo wszystko

JN

(artykuł z roku 2000)

inne już na zachwyty nie bardzo zasługuje. Bieda na każdym kroku, a nawet na każdej jego połowie. Dzieci ulicy na ulicach mrowie, starych, opuszczonych ludzi żebrzących drugie mrowie, dziur w chodnikach trzecie mrowie, przestępstw kradzieży mrowie kolejne, więc młode dziewczyny lub kobiety mające się za atrakcyjne, od zamążpójścia za cudzoziemca nie uciekają, a nawet wygląda tak, jakby cudzoziemców po cichu poszukiwały.

Perlette nie do końca była zdecydowana co do zamążpójścia za mnie, a jej rodzina nie ukrywała tego, że lepiej już dla niej byłoby zostać starą panną niż wyjść za mnie. Jej matka była drobne dwadzieścia lat młodsza ode mnie. Ojciec siedemnaście. Na otarcie lez miałem fakt, że jej babka tylko rok po mnie przyszła na świat, więc byliśmy prawie równoletkami.

Rankiem ruszyliśmy środkiem chodnika do Urzędu Stanu Cywilnego. Ja i ona. Jej kuzynki, które miały być świadkami, wołały pokazać się tylko w środku budynku.

Perlette ma pięciu braci, ale żaden nie chciał ze ślubem mieć cokolwiek do czynienia. Najstarszy mówił, że to nie jest zamążpójście, tylko coś innego. W wolnym tłumaczeniu z ich języka, którego prawie nie znam, to brzmiałoby to mniej więcej jako ZamążUjście. Do tego dodawał:

— Niech sama sobie bierze ślub z Joe Baiden.

Trochę mi to sprzyjało, bo praktycznie znaczyło, że jak niedługo przekroczę osiemdziesiątkę, to będę mógł wystartować za Oceanem w wyborach prezydenckich. Najmłodszy z nich, niestety, trochę to ceniował.

— Może w trakcie ceremonii utnie sobie drzemkę.

Była to aluzja do debaty Joe Bidena z Donaldem Trampem, w której ten pierwszy nie wypadł najlepiej. Nie czuwał cały czas, tylko w wolnych chwilach trochę przysypiał.

— To co, pójde tam słuchać jego pochrapywania?

Musiał też znać się trochę na prawie cywilnym, bo szybko dodał.

— A w ogóle to nie wiadomo, czy ten ślub będzie ważny, bo jak on w trakcie ślubowania utnie sobie jedną czy dwie drzemki, to... to będzie trochę jakby wbrew przepisom.

Ci pozostali dyskretnie przytaknęli.

Jedna kuzynka zrezygnowała, ale dalszy krewny Perlette zgodził się być świadkiem. Drogo za to nie chciał. Dwadzieścia dolarów zażądał, ale zaraz opuścił na dziesięć. Dałem mu pięć i wyglądał na zadowolonego.

Ceremonia ślubu cywilnego szła szybko. Perlette czuwała, ja nie przysypiałem i urzędniczka nie miała do niczego większych zastrzeżeń.

Krewny-świadek wziął mało, bo *summa summarum* nie był chyba dobrze wykształcony. Dokumenty podpisywał powoli, z namysłem i dyskretnie rozglądał się na boki, jakby poszukiwał pomocy. A do tego tylko połowę imienia napisał dobrze, później zaczęło mu iść gorzej. Zrobił błąd, który jednak urzędniczka szybko poprawiła. Z nazwiskiem radził sobie tak samo słabo. Błąd zaraz na początku i drugi pod koniec. Co prawda nazwisko miał długie, ale mógłby chyba pisać go trochę lepiej. Kierowniczką Stanu Cywilnego była na pewno dobrze wykształcona, bo mówiła biegle po francusku z Perlette, po angielsku do mnie, a do protokolantki w jej plemiennym narzeczu i nie była do tego służbistką. Szybko przejrzała Akt Zawarcia Małżeństwa, przyłożyła duży stempel i złożyła nam życzenia szczęśliwego pożycia.

W najbliższym barze wypiliśmy kilka toastów sam ze sobą, noc poślubną przełożyłem na bliżej nieokreślony termin, zarzuciłem moją podróżną torbę na ramię i ruszyłem w podróż poślubną. Sam, bo Perlette miała jakieś spotkanie ze znajomymi, drugie chyba z braćmi i wołała być na nich bez mnie.

Drogi na Madagaskarze, których właściwie nie ma, są na pewno najgorsze na Kuli Ziemskiej. Poruszają się po nich ludzie, zwierzęta dzikie, oswojone i różne pojazdy. Z Foulpointe, znanej wypoczynkowej miejscowości nad Oceanem Indyjskim, do Toamasina jechaliśmy autobusem. Bardzo starym, jak każdy inny na tej trasie. Odległość pięćdziesięciu kilometrów pokonywały one w trzy godziny.

Trzeba mieć przy tym mocne zęby, bo w czasie jazdy trzęsie tak, że kolanem trafia się w twarz. Często w czoło, czy nawet w wierzchołek głowy od strony pleców. Nikt jednak nie narzeka, bo to jest ich codzienność. Moja, przez dwa tygodnie wojaży po tej wyspie, też.

Autokary, samochody i inne pojazdy tam się nie psują, bo wszystkie są już tak popsute, że tam nie

dotkowego zepsuć się już nie może. One po prostu stają na drodze i jazdy do stacji docelowej nie kontynuują. Dalej podróżni radzą sobie sami. Tak jak potrafią i tak jak nakazuje sytuacja życiowa. Konduktor zdejmuje bagaże z dachu, kobiety zakładają walizki, torby, czy wiadra z owocami na głowy, biorą dzieci za ręce i ruszają poboczem. Ich mężowie idą zawsze z przodu i najczęściej z rękami w kieszeniach. Jak dystans między członkami rodziny się wydłuża, to odwracają się, posyłają kilka słów i żony przechodzą w trucht.

Nasz autobus też stanął. Wszyscy wysiedli i każdy robił to co do niego należy. Wziąłem moją podróżną torbę i zacząłem iść w stronę najbliższego miasta.

Wieczorem nadjechał inny autobus, ale miał tylko parę wolnych miejsc. Dałem kierowcy dziesięć dolarów, więc zrobił mi miejsce z przodu, koło siebie i po kilkuminutowych przepychankach ruszyliśmy w stronę Toamasina.

Rodzina Perlette, mojej drugiej żony, była rozgałęziona jak stary, dorodny buk. Jej pięciu braci miała żony z wielodzietnych rodzin. Jedna z nich, zajmująca się działalnością artystyczną, mieszkała w małej wsi niedaleko Toamasina. Powiedziała oficjalnie, że chciałaby mnie poznać. A jak nie będzie jej w domu kiedy przyjdę, to żebym pokazał się jej dziadkowi, który jest mniej więcej w moim wieku. Uważała chyba, że jako równoletkowie, ja i on, będziemy mieli wspólny język.

Autobusy jednak do tej miejscowości nie jeżdżą. Przyłączyłem się więc do grupy pieszych. Idąc rozmawialiśmy na migi i rozumieliśmy się dobrze, bo nikt z nas nie popełniał błędów stylistycznych czy ortograficznych. A do tego w naszych zdaniach przekazywanych ruchami rąk i dłoni wszystko było na swoim miejscu. Przecinki tam gdzie powinny być. Kropki też na swoich miejscach, a do tego każde zdanie zaczynaliśmy z dużej litery.



Szliśmy zwartym szykiem i raźnie. Wszystko było normalnie, tak jak jest tam od wielu, wielu wieków i prawdopodobnie przez następne długie wieki nic nie ulegnie w tej materii zmianie. Kobiety z tobołkami na głowach, obok dzieci i trochę w przodzie mężczyźni z rękami w kieszeniach. Niektórzy palili papierosy.

Droga raz wspinała się pod górę, raz trochę opadała w dół. Daleki krajobraz był piękny, więc zrobiłem kilka zdjęć na pamiątkę mojej podróży poślubnej.

Patrząc na spoczone twarze kobiet, można byłoby w duszy zapytać, szczególnie, gdy droga pięła się stromo pod górę, czy te relacje małżeńskie w Afryce są na pewno wzorcowe.

Prawdę mówiąc, nie potrafiłbym na to odpowiedzieć, bo z jednej strony to trochę szkoda tych kobiet, ale jednocześnie trzeba wziąć pod uwagę i następstwa zmian, gdyż mogłoby być tak jak w moim pierwszym

małżeństwie. Grażyna grubo przed ślubem wzięła mnie pod podeszwę i nie odpuściła aż do dnia wydania przez Sąd Wyroku rozwodowego. Bylibyśmy małżeństwem nadal, to ja szedłbym teraz z kilkoma walizkami na głowie, torbą z jej lusterkami, grzebieniami i kosmetykami w rękach, a – niewykluczone – ze za koszulą umieściłaby mi jeszcze jakiś płaszcz przeciwdeszczowy albo i dwa, bo ma ich kilka, buty gumowe, suszarkę do włosów, a być może i kilka miejscowych gazet z anonsami mody. Grażyna natomiast kroczyłaby obok z rękami w kieszeniach lub z lusterkiem w rękę i podziwiała swoją piękną twarz.

Do wsi dotarłem późnym wieczorem. Krewny mojej nowej żony czekał na progu. W swoim małym domku, zdubowanym z desek, blachy i liści drzew kokosowych nie miał światła i wody. Tak jak wszyscy inni mieszkańcy. Na ścianach wisiało kilka akwarel. Wskazał je wzrokiem, a po chwili podprowadził bliżej ognia, by zobaczyć lepiej moją twarz.

Patrzył długo i cały czas w milczeniu, więc nie konkretnego nie wiedziałem. Zaskoczony był, zniechęcony, zmartwiony, czy było mu wszystko jedno. Wyglądało na to, że był chyba stolarzem, bo w kieszeniach spodni miał dużo gwoździ i to różnych rozmiarów. A z wewnętrznej kieszeni, wiszącej na gałęzi pobliskiego drzewa jego marynarki, wystawał młotek. Z tego co mówił w swoim języku, którego w ogóle nie rozumiałem, to pracował głównie nocami, gdy żar z nieba i pot z czoła nie dokuczały tak mocno.

Na kolację zjadłem dwie smażone ryby, złowione rankiem przez sąsiada – rybaka w pobliskiej rzeczce i kawałek razowego placka ziemniaczanego. Smakowało dobrze. Później wnuk czy prawnuk rybaka pobiegł do rzeki wymyć mój talerz, łyżkę i widelec, a ja ułożyłem się do snu na rozrzuconej na glinianej podłodze słomie. Komary bzycały, bzycały i jeden ugryzł mnie w głowę. Głęboko, bo niemalże doszedł żądłem czy zębami tam, gdzie prawie każdy człowiek ma szare komórki, a poeci w zamian poezję. Krewny musiał to zauważyć, mimo ciemności, albo znał się na poezji, bo nałożył mi na twarz coś jak sito do przesiewania mąki czy maku. Zasnąłem więc szybko.

Sąsiad – rybak chyba nadal lubił wodę. Tak to wyglądało z jego zachowania. Do snu ułożył się obok dużej kaluży, a w nocy, gdy wstałem za potrzebą, to on trzymał w wodzie nogi. Następnym razem jedną rękę, trzecim razem drugą, a nad ranem umiejscowił się tak blisko wody, że ta przy podmuchach wiatru ocierała się niemalże o jego starczą, pomarszczoną twarz.

Większość mieszkańców wstała razem ze słońcem. I ja też dokonałem tego. Przewiązałem przez biodra ręcznik i ruszyłem do rzeki. Pranie i toaleta odbywały się ekologicznie. Na łonie natury. Z tym, że pranie było wyłączną dominą kobiet. Ja wyprałem skarpetki.

Na płaskich kamieniach rozkładały pranie, mydliły i pluwały w nurcie rzeki. Potem wszystko rozłożyły na trawie. Reszty dzieła dokonywało słońce.

Nikt nikomu we wsi nic nie kradł, bo za takie coś to miało się karę. Ogłoszoną wieczorem przy ognisku przez najstarszego mieszkańca wsi. Wyrok był i jest ustny, krótki, nie zawiera uzasadnienia i nie ma od niego odwołania. Najstarszy mieszkaniec wskazuje palcem i cicho mówi: wydalenie. Egzekucja sentencji jest natychmiastowa, więc on czy ona pochyla głowę i w milczeniu odchodzi, by więcej do wsi nie wrócić.

W południe przyszła praprapra... wnuczka najstarszego mieszkańca i powiedziała, że moje skarpetki już wyschły. Pożegnałem się więc z krewnym mojej nowej żony, mieszkańcom skinałem głowę, zarzuciłem moją podróżną torbę na ramię, nałożyłem nowowyprane skarpetki i ruszyłem skrajem drogi przed siebie.

Po kilku dniach dotarłem na lotnisko. Z daleka zobaczyłem Perlette i wyglądało to tak, jakby czekała na mnie. Po chwili podeszła, pogładziła mnie wierzchem dłoni po policzku i wymieniliśmy kilka spojrzeń, a po chwili i parę słów. Z jej spojrzeń i jej chwilami długiego milczenia wynikało niezbitcie, że jak kiedyś spotkamy się znówu, to może nie zakończy się wszystko na pogładzeniu po policzku, na kilku spojrzeń i paru słowach, a może być dużo więcej. Jak uśmiech, podanie ręki, czy nawet pocałunek w policzek.

Uścześnieśliwiony tą radosną myślą ruszyłem w stronę samolotu odlatującego do Nairobi, by przez Paryż i Kopenhagę wrócić do mojego mieszkania. Od dawna pustego.

Jerzy Marciniak

MIĘDZYNARODOWY KONKURS

BYĆ POLAKIEM

XVI EDYCJA 2024/2025



www.bycpolakiem.pl



WIĘCEJ INFORMACJI NA STRONIE 3